

EDWARD GUZIAKIEWICZ

KASANDRA



SF

Edward Guziakiewicz

Kassandra

Fragment

Rozdział 1

Wyrafinowana aparatura sklonowała zmysłową wojowniczkę aż w trzech egzemplarzach, posypało się z istnego rogu obfitości, więc dwie zachwycające młódki z tej niespodziewanej serii — jako zbędne — musiały trafić do pieca krematoryjnego. Nieogarniony system po swoim korygował błędy, które popełnił ktoś mi nieznany. W najbliższym hibernatorze spał trzeci klon. Ostatnia kopia się ostała. Stałem w nabożnym skupieniu, nie naruszając sakralnej ciszy stworzenia. Zachłannie wpatrywałem się w ujmującą gładką twarz, łabędzią szyję, kształtne ramiona i cudowne piersi. Pierwszy raz miałem do czynienia z innym androidem, a do tego płci żeńskiej.

Ogromny owalny iluminator dawał widok na okrytą płaszczem atmosfery planetę i poznaczony śladami uderzeń meteorów surowy księżyc. Za pancerną ścianą pieca huczało i strzelało, jakby miało roznieść generator na strzępy, co dowodziło, że niszczone żeńskie klony dobrze wyposażono pod względem militarnym. Sam też nie mogłem narzekać na zabezpieczenia. W przypadku krańcowego niepowodzenia akcji i konieczności zatarcia wszystkich śladów byłem w stanie zniszczyć cały glob. Na szczęście, nigdy tak się nie skompromitowałem. Radziłem sobie i nie musiałem uciekać się do środków nadzwyczajnych.

Byłem terminatorem, dzieckiem wysoko rozwiniętej protektyki i inżynierii genetycznej, cyborgiem do zadań specjalnych, wielofunkcyjną samoistną świadomością, zdolną do licznych wcieleń i otrzymującą przed każdą misją genetycznie nowe ciało, ale nie wiedziałem, komu zawdzięczam istnienie. Nie znałem mocodawców, mimo że wiązały mnie z nimi śluby bez-

względnego posłuszeństwa. Budzono mnie co pewien czas, pozostawiając mi świetlaną pamięć poprzednich udanych akcji na gwiazdzistych szlakach i wyznaczając nowe zadania. Ta sama masywna kulista baza, z zewnątrz niewidoczna, ten sam generator, lecz za każdym razem dojmująco inna rasa w kosmosie...

Obecność Kasandry mile mnie zaskoczyła. Nie przypuszczałem, że dostanę kogoś do pomocy, bowiem dotąd działałem w pojedynkę. Dobiegł końca poranek stworzenia i otworzyła oczy, a do hibernatora cicho podплыnęła niska platforma z kompletem damskiej bielizny. Wstydliwie przeniosłem się do sąsiedniej grodzki, wywołując na wirtualnym ekranie dane dotyczące przydzielonej mi partnerki. Sprawdziłem stopień zgodności. Sięgał dziewięćdziesięciu siedmiu procent, z czego wynikało, że nasze relacje mogły mieć charakter intymny. Przejrzałem inne parametry, z niepokojem zatrzymując wzrok na wyświetlającym się na czerwono ostrzeżeniu „Nieznany błąd kodu”. Doznałem olśnienia i pojąłem, dlaczego klonowano ją kilka razy. Generator usiłował stworzyć wojowniczkę bez błędu. A skoro mu się to nie udało, dał sobie spokój, przerzucając na mnie obowiązki uporania się z konsekwencjami.

Musiałem stłumić w sobie zachwyty partnerką. Towarzyszący mi w tajnej misji cyborg mógł nagle zawieść, stawiając mnie w sytuacji bez wyjścia. Powinienem był mieć się na baczności.

— Będzie dobrze — głośno się pocieszyłem, mimowolnie odchrząkując w zwiniętą pięść. Zawsze mi się udawało. Tym niemniej poczułem, że moje dłonie zwilgotniały.

Była to już moja dziewiąta interwencja, Kasandry dopiero pierwsza. Ósma wiązała się z wyprawą w niezmiernie głębiny oceanu w bliźniaczym układzie Ga-a. Otrzymałem wówczas ciało ogromnego morskiego potwora. Miałem dopaść wytypowaną samicę i ją zapłodnić, a tym samym przekazać jej perfekcyjnie obrobiony materiał genetyczny. Udało mi się z tym uporać, jednak nie obyło się bez długiej zacieklej walki z agresywnymi samcami, które usiłowały prześcignąć intruza z gwiazd w pogoni za wybranką. Pomyślałem o planecie, na którą miałem

się teleportować. O dziwo, dobrze znałem ją z drugiej misji. Wcieliłem się wówczas w postać Aleksandra Macedońskiego. Prowadziłem wojska przeciw Persom, galopując na czele armii na ognistym Bucefale. W nieustannych podbojach dotarłem aż do Indii. Ile czasu minęło od owych wydarzeń? Porównałem tamtą wiedzę o globie z obecną. Upłynęło przeszło dwa tysiące lat.

— Cześć, golemie! — z poczuciem wyższości rzuciła Kasandra, kiedy poradziła sobie z toaletą i znalazła mnie, rozglądając się po pomieszczeniach.

Wyglądała na dziewiętnaście lat i była odrobinę wyższa ode mnie. Sam miałem trzydzieści sześć. Czarny obcisły kombinezon podkreślał jej smukłą sylwetkę. Ciemne lekko kręjące się włosy okalały twarz i sięgały do ramion. Pasowała do roli stewardessy. Szczupła aż do przesady, zdradzała niezwykłą sprawność fizyczną.

Kończyłem modyfikować mój profil psychiczny. Miałem na to swoje sposoby. Na wszelki wypadek obniżyłem poziom przystosowania do partnerki do osiemdziesięciu czterech procent. To mi dawało przewagę w sprawach uczuciowych i pozwalało być odpornym na jej wdzięki. Jako król Aleksander miałem pod dostatkiem kobiet i nie śniłem nocami o gładkich dziewczęcych łonach. Kasandra była ładna, to fakt, ale mogłem się bez niej obejść. Wcześniejsze misje nauczyły mnie ostrożności.

— Mam na imię Apollo — spokojnie odrzekłem, chcąc przełamać pierwsze lody. — Cieszę się, że będziemy razem pracować.

— A ja nie! — odszczeknęła.

Puściłem mimo uszu tę impertynencję. Pomyślałem sobie, że ktoś sobie z nas zakpił, narzucając nam greckie imiona lub że zależało mu, bym nie zapomniał o roli dumnego Aleksandra. W „Iliadzie” Homera Kasandra była córką króla Troi, Priama, a od Apolla otrzymała dar wieszczania. Gdy odrzuciła jego miłość, rozgoryczony syn Zeusa sprawił, że przestano wierzyć jej

wróżbom. Jej pojawienie się zwiastowało nieszczęście.

— Kasandra! — mruknałem, ześlizgując się wzrokiem na sportowe obuwie. — Zmierzymy się? — układnie zaproponowałem. — Tuż obok jest sala treningowa. Ze zmienną grawitacją. Ciekawe, czy będziesz lepsza.

Musiała być lepsza. Widziałem to w jej oczach. Dała się skusić, żeby pokazać, że nade mną góruje.

W szatni przebraliśmy się w białe luźne stroje do ćwiczeń. Czego by nie rzec o generatorze, dbał o detale każdej akcji. Była znakomicie przygotowana do walki wręcz i przekonałem się o tym już w pierwszych sekundach starcia. Okazała się diabelnie szybka i perfekcyjna, a jej bosa stopa co rusz migiała mi przed nosem. Uważałem, żeby nie dostać w głowę lub w kroczę. Broniłem się, kurczowo szukając słabych stron. Przystosowano ją do akcji w stabilnym polu grawitacyjnym. Zmienne wytrącało ją z równowagi i doprowadzało do pasji. Wykorzystałem ten atut, kilka razy zwalając ją z nóg. Sam dałem się wreszcie raz rozłożyć na łopatki i zrezygnowany ogłosiłem koniec walki. Roznosił ją ten sukces. Kiedy wychodziliśmy z sali treningowej, zajrzała mi chłodno w oczy i warknęła z pogardą:

— Takich jak ty załatwiam jednym palcem!

Nie chciałem się z nią kłócić. Nie było o co.

— Świetnie — ucieszyłem się obłudnie. — To dobry zwiastun dla naszej akcji.

Generator przeniósł nas na powierzchnię planety. Dwa groźne anioły spadły na peryferia Galaktyki Drogi Mlecznej. Znaleźliśmy się w zadbanym i ruchliwym, ale niewielkim europejskim mieście. Witano nas ciepłe majowe przedpołudnie. Zmaterializowałem się obok wojowniczeki między srebrnymi świerkami i zielonymi modrzewiami w zalanym słońcem uroczym parku z czynną fontanną. Ostrożnie wyjrzeliliśmy spomiędzy krzewów. Skierowana ku górze ryba z brązu tryskała wodą z otwartego pyszczka. Przeszył mnie dreszcz emocji, jak zaw-

sze na początku akcji, której wyniku nie umiałem do końca przewidzieć.

Kassandra stała na lekko rozstawionych nogach, nieufnie rozglądając się dokoła. Zdumiał ją rozległy błękit nieba. Nikt z tutejszych nie odnotował nagłego pojawienia się przybyszy z gwiazd. Byli przecież doskonale upodobnieni do przedstawicieli gatunku *Homo sapiens*. Na otaczających fontannę ławeczkach siedziały młode matki przy wózkach dziecięcych. Bawili się tu krzykliwi malcy. Chłopcy szaleli na deskorolkach. Uszami łowiłem strzępy rozmów. Zafascynowana nowym dla siebie otoczeniem wojownicza obejrzała się wreszcie na mnie i dyskretnie pokazałem jej ręką kierunek. Miałem w głowie dokładny plan miasta, więc nie musiałem nikogo pytać o drogę. Zeszliśmy z przyciętego trawnika na asfaltową ścieżkę i bez pośpiechu ruszyliśmy w stronę hałaśliwego centrum.

Wzdłuż handlowej ulicy usytuowały się sklepy, puby i kawiarnie, a ich witryny przyciągały uwagę modelki. Zaintrygował ją elegancki zakład fryzjerski. Potem obuwniczy. Asekuracyjnie trzymająca się mego boku, krzyknęła naraz radośnie i opuściła mnie, znikając we wnętrzu magazynu z damską odzieżą. Zatrzymałem się, bacznie lustrując perspektywę ulicy. Tworzyły ją przylegające do siebie kilkupiętrowe zabytkowe kamienice, różniące się fasadami i ich ornamentyką. Wciskały się między nie nowoczesne budynki z betonu, marmuru i szkła. Po obu stronach jezdni parkowały samochody osobowe. Oczyma wyobraźni ujrzałem siebie jako Aleksandra, galopującego tędy w pełnym rynsztunku na czarnym rumaku. Czasy się zmieniły i raziłbym swoim wyglądem. Kobiety tej epoki kuso się ubierały, nie myślały o nakrywaniu głów w publicznych miejscach, a włosy miały przeważnie rozpuszczone. Działy na mnie jak magnes ponętne młódki, pokazujące w całej okazałości zgrabne nogi. Obcisłe spódniczki ledwo co zakrywały ich apetyczne tyłeczki. W witrynie wdzięczyły się plastikowe damskie manekiny, prezentujące letnie kreacje.

Nie wyczułem zagrożenia. Nikt nie deptał nam po piętach.

Uspokojony zajrzałem do sklepu, chcąc się zorientować, co strzeliło do głowy mojej żywej jak rtęć partnerce.

Z jej szyi zwisał jaskrawy hawajski naszyjnik. Mierzyła peruki, robiąc cudaczne miny przed lustrem. Przyzwyczajona do kapryśków usłużna ekspedientka trzymała ich w ręku cały pęk.

— Zobacz, pigmeju, jestem blondynką — radośnie zawołała. Była w swoim żywiole. — Byczo, nie?

Zdjęła ją, zamieniając na afro z burzą czarnych loków.

— Teraz jestem Murzynką z buszu! — obwieściła z entuzjazmem, ciesząc się jak dziecko.

Nic nie rzekłem, krytycznie oceniając jej błazeńskie popisy i z odrobiną niepokoju zezując w stronę innych klientek w sklepie. Niepotrzebnie robiła wokół siebie tyle hałasu. Zakładała kolejne, na cały głos się zaśmiewając, najpierw z długimi dredami, następnie rudą, wściekle wiśniową, a później zieloną i niebieską.

Znudziło się jej wreszcie to nonsensowne zajęcie, pieszczotliwie przejechała ręką po wiszących na stojaku sukienkach z letniej kolekcji i ku mej uldze opuściła sklep, zapewniając ekspedientkę, że znowu tam zajrzy.

Na ulicy zwróciłem jej uwagę, że zachowuje się niestosownie. Była mało powściągliwa i brakowało jej dobrych manier. Wydeła ze wzgardą wargi. Nie należało jej strofować.

— Wypraszam sobie, ty zarozumiała ignorancie! — skoczyła mi do gardła. — Jestem najmądrzejsza, najpiękniejsza i wszystko mi wolno... — warknęła ze złością, instruując mnie jak tępaka. — Jesteś tylko dodatkiem do mnie, więc nie podskakuj. I naucz się, że ja tu rządzę!

Śmiertelnie obrażona, w tempie iście sprinterskim pognąła do przodu. Omal nie stratowała kulejącego staruszka z laską. Na szczęście, biedak odzyskał równowagę. Dobiegła do pobliskiego skrzyżowania i nagle się zatrzymała. Zawróciła, przejęta frapującą ją myślą. Zrobiła się słodka jak miód. Złapała mnie przymilnie pod rękę i garbiąc się, żeby być niższą, konspiracyj-

nie szepnęła mi do ucha:

— Tu nic nie dają za darmo, wyobraź sobie, potrzebne są pieniądze!

Połaskotała mnie swoimi włosami. Wykorzystałem tę okazję i pieszczotliwie klepnałem ją w pośladek. Nie protestowała.

— Masz rację, rozejrzyjmy się za bankomatem — odrzekłem. — Musimy któryś obrobić.

Miałem opanowane różne sposoby szybkiego pozyskiwania funduszy, ale ten wydawał mi się najłatwiejszy. A poza tym mogłem zabłysnąć przed dziewczyną.

Bankomaty służyły do wypłaty gotówki za pomocą karty magnetycznej. Oczywiście, nie dysponowałem prawdziwą kartą, lecz nie stanowiło to dla mnie żadnej przeszkody. Od czego miało się wyspecjalizowane kończyny?

— Tu! — usłudźnie pokazała oszkloną kabinę. Weszła za mną do środka, zamykając drzwi. Poczułem na karku jej oddech. Przcisnęła się bliżej, żeby lepiej widzieć.

Te przydatne automatyczne urządzenia posiadały kasety nominałowe. Nie trzeba było łączyć się z bankiem, żeby przejąć nad nimi kontrolę. Przyłożyłem kciuk do oświetlonej szczeliny, błyskawicznie wdzierając się do czytnika, modułu szyfrującego i modułu depozytu. Mój palec przekształcił się w wirtualną kartę, pozwalającą bezkolizyjnie podpiąć się do systemu.

Monitor zamigał i pojawiły się na nim kolejne napisy. Potem wirtualna karta wróciła, przez chwilę jarząc się na końcu mego kciuka. Posłuszny bankomat szcęknął i wysunął się z niego plik banknotów euro o wysokich nominałach.

— Witaj w świecie biznesu! — dumny z siebie mruknąłem do Kasandry.

Wojowniczką z niedowierzaniem przyglądała się ulegającemu metamorfozie kciukowi. Na krótko zjechała wzrokiem na mój rozporek, jakby się zastanawiając, czy z tym, co kryję w spodniach potrafię wyczyniać podobne cuda. Potem nie odrywała już zachłannego wzroku od banknotów.

Wydostaliśmy się z kabiny. Odliczyłem cztery i jej poda-

łem. Złapała i dzierżąc je w dłoni wyskoczyła jak koszykarz w górę.

— Hura! — wrzasnęła, zwracając na siebie uwagę przechodniów.

Z rozmachem wyrzuciła je w powietrze i pofrunęły jak jesienne liście. Błyskawicznie je połapała, nie pozwalając opaść na chodnik.

— Spokojnie! — usiłowałem ją pohamować.

Nie słuchała. Była żywą rtęcią.

— Zaczekaj na mnie w hotelu, trafię! — wypaliła. Pognała na złamanie karku, ginąc w labiryncie sklepów pawilonu handlowego. Znikła jak kamfora.

Przedsiomek hotelu Manhattan był gustownie urządzony. Zauważyłem wejście do restauracji, a także schody do kryjącego się w podziemiach lokalu rozrywkowego o nazwie Night Club. Na pokrytych wytworną tapetą ścianach widniały w ramach płótna tutejszych artystów malarzy. Usiadłem w bufiasnym fotelu, biorąc do ręki leżącą gazetę i co rusz zezując w stronę oszklonych drzwi. Rozłożyłem ją, udając, że czytam i oddając się niepokojącym rozmyśleniom nad zleconym mi zadaniem.

Było ono podejrzenie łatwe, a przy tym dziwnie nijakie. Nie wymagało specjalnych zachodów, doświadczenia i wprawy, więc nie pojmowałem, czemu obarczono nim starego wygę, który przetarł w samotności wiele kosmicznych szlaków. Mógł się z nim uporać początkujący android, stawiający pierwsze kroki w naszym fachu. Ponadto nie rozumiałem, dlaczego przydzielono mi do pomocy szalejącą partnerkę, która myślała o wszystkim, tylko nie o czekającej ją akcji. Gdy sobie to uświadomiłem, przeszył mnie dreszcz. Może komuś wyżej zawistnie zależało, żebym się wreszcie poślizgnął? Nie miałem pojęcia, komu mogłem się narazić i kto chciałby złośliwie podłożyć mi nogę. Dotąd szło mi gładko, wydumani bogowie mi sprzyjali, miałem na swoim koncie dziewięćset osiemdziesiąt pięć punktów, najwięcej, bo blisko czterysta za misję Aleksandra Wiel-

kiego. Około trzystu otrzymałem za wyprawę na globy i księżycyce Teorionów. Tam dopiero trzeba było się gimnastykować! Na ich macierzystej planecie, Mamorii, spędziłem blisko pół roku, stając na głowie, żeby nie dać się zdekonspirować. W metropoliach na każdym kroku „prześwietlano” bowiem przechodniów i klientów. Wymagały tego zunifikowane systemy płatności, związane z komunikacją, handlem, gastronomią, rozrywką, opieką medyczną i Bóg wie, czym jeszcze. Nie mogłem korzystać — między innymi — z usług o bardzo wysokim poziomie interaktywności. Ich multikino było znakomite i przenosiło w świat nieomal realny, ale w czasie seansu zostałem zdemaskowany. Nie wolno mi było mentalnie kreować nabywanych artykułów i musiałem poprzestawać na gotowych wzorcach. Wpadłbym po uszy, gdyby dobrał się do mnie automat medyczny i próbował zbadać mnie lub udzielić pierwszej pomocy. Teorionie mieli szmergla na punkcie dobrej organizacji, ładu i porządku. Osiągnęli znacznie wyższy niż Ziemianie poziom rozwoju, jako tako radzili sobie z grawitacją i bez trudu poruszali się po własnym układzie solarnym.

— Takie koleje losu — mruknąłem, przewracając zadrukowane stronicę gazety.

Wróciłem myślami do mego zadania. Ile mogłem dostać za dziewiątą akcję? Niewiele, najwyżej dziesięć, dwadzieścia punktów. Polecono mi uprowadzić jednego z dyplomatów i zapowiadało się, że pozostanę tu nie dłużej niż dwie doby. Nadszedł piątek, zaczynał się weekend i polityk starym zwyczajem wracał do rodzinnego miasta. W sobotę miał w planie wizytę u dentysty. Wystarczyło zaczekać w pawilonie usług medycznych, tam dopaść go i niepostrzeżenie zassać do przenośnego torusa. Kiedy wkładałem rękę do kieszeni spodni, wyczuwałem pod palcami to przypominające bransoletę urządzenie. Sprawnie kondensowało materię, nie naruszając jej struktur. Mieściło nawet słońca. Służyło ponadto do komunikowania się z generatorem. Co kilka godzin przykładłem palec do ledwo znaczącego się na powierzchni wybrzuszenia, przesyłając cichą relację

z przebiegu misji. Zależnie od rodzaju wykonywanego zadania do stałego kontaktu z generatorem służyły też inne urządzenia, zazwyczaj przypominające drobne gadżety.

— Słonie! — miauknąłem. Pobiegłem myślami do Indii. Te potężne zwierzęta robiły wrażenie na moich dzielnych wojakach. Łby miały mniejsze niż słonie afrykańskie, ciosy też, ale imponowały wielkością. Poruszały się nadzwyczaj sprawnie, szybko, niemal bezgłośnie i prawie nie zostawiając śladów. Niełatwo było przebić ich pomarszczoną skórę o znacznej grubości, a rzut dzidą nie wystarczał.

Wstałem i zbliżyłem się do ulokowanego w holu kiosku, żeby kupić portfel na zwędzone przed kwadransem banknoty. Dopiero gdy zatrzymałem się przed wąską ladą, uzmysłowiłem sobie, że jeden taki mam już w kieszeni marynarki. Sięgnąłem ze zdumieniem ręką i go wydobyłem. Świecił nowością. Kryły się w nim oprócz dowodu osobistego dwie zgrabne karty kredytowe.

— Do diabła! — zgrzytnąłem zębami. Ze zgrozą pojąłem, że nie musiałem włamywać się do bankomatu. Pod wpływem Kasandry zaczynałem popełniać kardynalne błędy. Była to kolejna zła wróżba na najbliższe dni.

Modelka wreszcie się pojawiła. Błyskawicznie upodobniła się do tutejszych nastolatek. Miała na sobie wściekle obcisłe dzinsy, nie pojmowałem, jak zdołała się w nie wbić, ciemnoniebieską podkoszulkę, jak na mój gust nazbyt męską, niemniej podkreślającą jej kształtne piersi, zaś na nosie duże ciemne okulary przeciwsłoneczne. Za nią ciągnął nierozgarnięty tęgawy blondyn w jasnej koszulce polo w poziome pasy, wyglądający na osiemnaście lat. Z przejściem targał jej zakupy.

Zignorowałem tego chłystka. Podniosłem się, szczęśliwy, że wreszcie nadeszła i podszedłem do blondynki, piłującej sobie paznokcie za kontuarem recepcji.

— Dzień dobry! Robiłem rezerwację dla dwóch osób, Wagner i Fischer — układnie rzekłem, podając jej plastikową kartę identyfikacyjną. — Starąłem się, by akcent zdradzał cudzo-

ziemca. To skutkowało w tej części Europy.

Zajrzała do komputera, stukając w klawisze.

— Apollo? — zdziwiła się. Moje nazwisko nie szokowało.

Kiwnąłem głową.

— Rodzice mieli hopla na punkcie mitologii — gładko się wytłumaczyłem.

— Dwuosobowy? — spytała, starając się, by jej głos miał profesjonalne brzmienie.

— Jak najbardziej, na dwie doby.

— Nic z tego — zaperzyła się Kasandra, wtrącając się do rozmowy. — Chcę jedynekę! — nieustępliwie zażądała.

Nieznaczny ruch ręki, pod którą kryły się banknoty, przesądził o wyniku tego starcia.

— Mamy dwie jedyneki połączone drzwiami — recepcjonistka blade się uśmiechnęła.

Banknoty powędrowały w jej stronę.

— Reszty nie trzeba! — odpowiedziałem, zabierając klucze.

Pokoje były wygodne i ładne. Stylowe mahoniowe meble świeciły nowością. Różne tonacje błękitu kontrastowały z jasnożółtymi ścianami. Sprawdziłem łóżko, padając na nie całym ciałem. Kasandra rzuciła na ławę reklamówki z zakupami i od razu przypięła się do tych nieszczęsnych drzwi.

— Muszą być zamknięte, masz się postarać, wredny andro-idzie! — władczo zarządziła.

Niechętnie wstałem i z miną doświadczonego ślusarza obejrzałem je z obu stron.

— Jest klamka, nawet ładna, jednak nie ma zamka — objaśniłem ze stoickim spokojem.

Przyjęła to z niesmakiem.

— Ale z ciebie łajza — wydeła brzydtko usta. — Jeśli otworzysz je bez pukania, to ci urwę głowę — zagroziła. — Wylądujesz w parku sztywnych!

— Zgoda — potulnie odrzekłem.

— To zwalaj stąd, nieudaczniku — pokazała mi palcem. —

I to już. Muszę się przebrać.

Wycofałem się i zatrzasnęła te nieszczęsne bramy raj. Po minucie jednak je otworzyła. Wparowała do mnie w stringach, świecąc gołymi piersiami.

— Mam za mało kasy!

Z wrażenia zaschło mi w ustach. Szmal to szmal! Bez słowa wyciągnąłem portfel i oddałem jej wszystko, co miałem. Tym razem nie podskoczyła w górę i nie krzyknęła „Hura!” Odwróciła się i odeszła, skwapliwie licząc banknoty. Potem przypomniała sobie o otwartych drzwiach.

— Pójdziemy razem na obiad? — przymilnie zapytałem. — Wypada poznać sekrety tutejszej kuchni. Podobno serwują tu świetne żeberka.

Pokręciła przecząco głową.

— Nie mam zamiaru się opychać, precz z kaloriami — powiedziała takim tonem, jakby miała w planie intensywną kurację odchudzającą. Wciągnęła przez głowę bluzkę, zasłaniając wreszcie te nieszczęsne piersi. — Kup dwie duże butelki wody mineralnej, to mi wystarczy — władczo rozkazała.

Mimo że minęło dwa tysiące lat, nadal czułem się królem i nie pociągała mnie rola sługi. Nie zamierzałem pozwolić, by mną pomiatała.

— Mogłabyś sama skoczyć do marketu. Chociaż nie! — w mig się spostrzegłem. Odnalazłem ukrytą w drewnianej obudowie lodówkę, a w niej butelki z gazowaną wodą. Wyjąłem jedną, odkręciłem gwintowaną nakrętkę, syknęło i pojawiły się bąbelki, a potem ostrożnie nalałem do szklanki. — Nie pójdę na obiad, też się obędę — przeciągnąłem się z ulgą, aż mi strzeliły kości. — Wybiorę się na spacer, rozejrzę po mieście i wdepnę do biblioteki.

Opuściłem przebierającą się Kasandrę i paradnie wyściełanymi schodami zszedłem do holu. Nie słyszałem uderzeń obcasów o stopnie. Wyposażone ze smakiem hotelowe wnętrza robiły na mnie wrażenie. Dbano o komfort w tej epoce. Dostatek i świetność przejawiały się na każdym kroku i nie były zarezer-

wowane dla elity.

Kiedy znalazłem się na ulicy i owiał mnie ciepły majowy wiatr, zacząłem żałować, że nie wziąłem dwóch oddzielnych pokoi. Nie musiałbym ocierać się o rozkapryszoną partnerkę i wysłuchiwać jej bredni. Jednak po krótkim namyśle doszedłem do wniosku, że dobrze zrobiłem. Lepiej było mieć tę wredną diabolicę pod kontrolą. Licho nie spało.